

Mały pisarczyk z Małoszyc (5)

Ze Stanisławem Stanikiem rozmawia Izabela Zubko

Dużo później, już po śmierci Herberta, która narobiła dużo szumu, przynajmniej w śródkach przekazu, zawędrowałem na Uniwersytet Warszawski, gdzie miał wieczór autorski Bohdan Urbankowski. Wydał akurat książkę monograficzną o Herbercie. Spotkanie było nudne, przynajmniej za nudne jak na takiego luminarza kultury, a ja po długich wywodach o niektórych problemach bibliograficznych zapytałem go czy wie, że Herbert chorował na depresję? Wiedziałem o tym, bo przeczytałem komentarz o Herbercie po jego śmierci, napisany przez Tomasza Jastruna. Urbankowski powiedział, że nie wie. Uznałem, że napisał książkę powierzchowną.

Ale chyba się pomyliłem. Gdy przyszło mi przeczytać ją dokładnie, byłem zafascynowany ogromem wiedzy o poecie, której dotąd nikt tak syntetycznie nie zebrał. Nie była to praca naukowa, źródłowa, stworzona na podstawie prac archiwalnych i zbiorów prywatnych. Przydała mi się do opisanie sylwetek Herberta, a właściwie rozdziału do zaplanowanej książki „Żywoty psychotyków”. Co prawda Herbert nie był schizofrenikiem (psychotykiem), a melancholikiem (chory na depresję), ale doskonale nadawał się do szeregu dotkniętych dysfunkcją psychiczną. Pisałem tę sylwetkę długo, aż za długo jak na twórcę „Pana Cogito” i „Hermesa i gwiazdy”, a potem i tak ją pominąłem w pracy, ale autor przez skomplikowanie i tajemnice swojej dysfunkcji okazał się za trudny do ujęcia w roli „skazanego na klęskę” za obłąk i mdłość swego ciała. Dałem mu spokój, jak on mnie.

- Czy znałeś innych wybitnych pisarzy? Może tak jak Miłosz zasługują na poświęcenie im większej uwagi?

- Tak, znałem, pewnie mniejszych niż Miłosz, bo ten zawsze wyprzedzał swoją epokę, ale również zasłużonych i w swoim czasie niemniej popularnych. Do takich należał Jarosław Iwaszkiewicz, tytan pisania, wybitny działacz, potrafiący skupić wokół siebie skłócone środowisko twórców, członków ZLP. Zdaje mi się, że coś czytałem jego autorstwa w szkole podstawowej, ale bardziej już zaczął mi imponować na studiach polonistycznych. Mieszkałem w akademiku przy ulicy Karola Leszczyńskiego, w centrum Lublina, nieopodal Parku Saskiego, i marzyła mi się sława pisarza.

Wykonywałem próbki twórczości, ale chyba nieudolnie, bo podsuwane przeze mnie kolegom teksty mojego autorstwa spotykały się ze wzruszeniem ramion. Rad nierad przepisałem fragment opowiadania Iwaszkiewicza „Stara cegielnia” (z serii „Kolibra”) i zaniósłem go do przeczytania Witkowi Żołnierczukowi, studentowi UMCS. Ten przeczytał niby moją próbkę i orzekł ze smakiem, że przypadła mu do gustu i ciekawie się zapowiada. Jakież było moje rozgoryczenie, że to nie był mój tekst, a czyjs inny i tak się bardzo podobał. Poczułem, że chyba nie wystarczy mi talentu.

Iwaszkiewicz był wielkością nieosiągalną i niedostępną. Kiedy pracowałem w Kielcach w „Echu Dnia” zmierzyłem się z nowym wyzwaniem. Miałem pojechać na święto kultury do Sandomierza, bodaj w czerwcu 1975 roku. Na zaproszeniu przesłanym do redakcji przez organizatorów imprezy podawano, że w sympozjum na temat literatury tego regionu mieli wziąć udział m.in. Jarosław Iwaszkiewicz, Tomasz Burek i Jan Witan. Przed wyjazdem redaktor Janusz Sapa powiedział mi, że jeśli uda mi się porozmawiać z Iwaszkiewiczem, niech go zapytam o dziwny stosunek do innych Skamandrytów. Nie wiedziałem, co się pod tym kryje. Nie znałem kulis życia środowiska literackiego. Dziś wiem, że może odsuwał się i dystansował wobec Lechonia i Wierzyńskiego, może nawet nie lubił Słonimskiego, ale myślałem, że uda mi się tego dowiedzieć u źródła. Wziąłem udział w tym sympozjum. Panowie pięknie przemawiali, a Jarosław Iwaszkiewicz siedział na sali, nie odzywając się nic. Wreszcie ktoś z mównicy głośno powiada, że Iwaszkiewicz jako poseł Ziemi Sandomierskiej zaniedbuje swoje obowiązki względem jej mieszkańców. Jego wypowiedź wydała mi się niesprawiedliwa i buńczuczna. Poseł i pisarz w jednej osobie powstał z miejsca i wymknął się chyłkiem z sali.

Na podobny nietakt tym samym sposobem zareagowali notable kultury kieleckiej, kiedy w przeddzień 1 Maja na wernisażu rzeźb Hadyny i Myjaka, obu z Ostrowca mieszkających w Warszawie, wymknęli się z sali również chyłkiem. Nawet „Echo Dnia” nie zdecydowało się zamieścić mojego sprawozdania z przebiegu tej imprezy.

Tego znanego pisarza przyszło mi zobaczyć po raz drugi w Sandomierzu, kiedy jadąc samochodem, wraz z kierowcą zatrzymał się na rynku. Stałem

akurat z dziennikarzami partyjnego „Słowa Ludu” Hanną Maślankiewicz i Stanisławem Mijaszem oraz – chyba – z redaktorką Jarosz z „Przemian”, kiedy auto z wysoko postawionymi gośćmi zatrzymało się, a przez odsłoniętą szybę wyjrzał pisarz. Nie bacząc na doznana przez niego konfuzję i pewnie przynaglający go pośpiech, wypadłem z kawiarenki, gdzie piłem jakiś sok i zatrzymałem się tuż przed tym autem. Iwaszkiewicz obniżył jeszcze bardziej boczną szybę samochodu, a ja zapytałem wprost, czy mnie jako dziennikarzowi gazety kieleckiej nie zechciałyby udzielić wywiadu. Spojrzał na mnie. Nie wiem, czy nie zamienił jakiegoś słowa z kierowcą, ale wnet odparł, że może mi udzielić. Prosił, abym stawił się nazajutrz do Domu Wczasowego stojącego – jak się później okazało – na wzgórzu i otoczonego wysokimi sitowiem. Podziękowałem za życzliwe przyjęcie, odwróciłem się, a samochód pognał dalej.

Następnego dnia rano już na kwadrans przed czasem przyszedłem na umówione miejsce. Zajrzałem do środka stołówki. Iwaszkiewicz wraz z kierowcą siedzieli za stolikiem i spożywali śniadanie. Cofnąłem się. Kiedy podeszła do mnie kelnerka, powiedziałem jej, że jestem umówiony z pisarzem na rozmowę. Odparła, że poinformuje go o tym, że już przyszedłem na umówione spotkanie. Była akurat ósma. Po jakimś czasie kelnerka podeszła do mnie i kazała czekać. Stałem przed drzwiami i czekałem, potem trochę wsunąłem się do wnętrza pomieszczenia. Iwaszkiewicz skinął, żebym do niego podszedł. Kierowca zdążył już zjeść śniadanie w przeciwieństwie do pisarza, który miał na talerzu jajecznicę, a w kubku kakao. Kazał mi usiąść i opowiedzieć coś o sobie. Szło mi nieskładnie, a to dlatego, że nie widziałem żadnego zainteresowania mną i moją opowieścią. Wreszcie ten nie kończąc jedzenia, powiedział, żebym zadawał mu pytania. I zacząłem mu je zadawać, a szło mi to też nieskładnie. Najpierw postawiłem pytania ogólne i po jakimś czasie zapytałem go o jego nieszczęsny stosunek do Skamandrytów. Zachnął się, obrócił się w stronę kierowcy i kazał mu wyjść przygotować samochód do jazdy. Myślałem, że moja rozmowa skończona. Skurczyłem się i stremowałem. Na to Iwaszkiewicz, widocznie udobruchany moją postawą, podniósł

(Dokończenie na stronie 4)